

ROZMAITOSTCI.

Dnia 29 sierpnia,

N^{er} 35.

roku 1846.

Ludwika de la Chausseraie.

W r. 1790 wznosił się w pięknej okolicy nad Ligierą spaniały zamek, który był kolebką niejednego zaszczytnie w dziejach francuzkich wspomnionego męża.

Przeciw zwyczajowi zamków rycerskich z czasów feudalnych, leżał zamek de la Chausseraie w pośrodku obszernej doliny, i składał się z pięciu wież, które mieszkalnemi budynkami złączone były. Patrząc się z okolicznych zielonych wzgórzów, można było mniemać, iż widzi się przed sobą raczej duże zabudowanie gospodarskie z 17go wieku, niż twierdzę z r. 1500, który istotnie był rokiem jej założenia.

Pod koniec zeszłego wieku, w pierwszym zaraniu rewolucyi francuzkiej, mieszkał w zamku Chausseraie margrabia tegoż nazwiska, ostatni swojego rodu, mający tylko jedną córkę, Ludwikę. Totież po dawnych głośnych ucztach i biesiadach, jakie przed laty, w kwiecie rodziny margrabiego, na zamku Chausseraie brzmiały, panowała tu teraz spokojna, niby świąteczna cisza, szanowana jeszcze przez licznych margrabiego wazalów, którzy jednak wkrótce wśród grzmotów rewolucyi francuzkiej, zrzucić mieli jarzmo uległości.

Margrabia, od kilku lat owdowiały, należał przez długi czas do najświetniejszych kawalerów dworu Ludwika XVIgo, a nawet znakomitą posadę w rządzie piastował; lecz od śmierci żony, poświęcił on się wyłącznie wychowaniu i szczęściu córki, dla której dwór i stolicę opuścił, i cho-

ciaż jeszcze nie stary, zupełnie w zaciszy samotności się zagrzebał.

Będąc bogatym, i miłując wszelkie przyjemności życia, otaczał się margrabia chętnie tém wszystkiém, co takowe upiększa. Za jego staraniem przemienił się starożytny zamek Chausseraie w prawdziwy przybytek rajski, w którym młoda Ludwika, pielęgnowana pieczołowitą dłonią rodzicielskiej miłości, wzrastała jak kwiat wiosenny pod okiem troskliwego ogrodnika. Nie zbywało téż pięknej, lubej dziewczynie na niczém, chyba na tklivej opiece macierzyńskiej, której nic nie wynagrodzi i nie zastąpi.

W gronie sług margrabiego znajdował się niejaki Piotr Leroux. Trudnił on się zarządem domu, poruczonym mu jeszcze przez nieboszczyka ojca margrabi, a był to człowiek odrażającej powierzchowności, zyzowaty, o jedném niższém od drugiego ramieniu, o nadzwyczajnie wielkiej, na długiej cienkiej szyi sterczącej, krzaczysto porosłej głowie, w której dwoje małych ocz, jak dwa zarzące węgle, złośliwym iskrzyło się wyrazem.

Cała jego fizyjonomija budziła wstręt mimowolny, i żaden téż z wazalów margrabiego nie chciałby się być nazywać jego przyjacielem. Hardy, chciwy, szukający wszędzie prawego, czy, jak najczęściej bywało, nieprawego zysku, nieprzeciwny najobrzydliwsiemu środkom, byle one do upatrzonego celu doprowadzić go mogły, powziął był ten niecny człowiek zapamiętałą skłonność do córki swojego pana, a chociaż sam dobrze wiedział, że podobne uczucie było szaleństwem, przecie nie starał go się stłumić w sobie.

Pewnego poranku w czerwcu, wyszła Ludwika, bez towarzyszącej jej zwykle wychowawczyni, sama jedna za bramę zamkową; zbiegła wesoło na przyległą, kwiecistą łąkę, i oddalwszy się niepostrzeżenie od zamku, zastanowiła się dopiero u stóp zielonego wzgórza, aby tam kilka wykwitających z murawy bratków uszczknęła.

Zajęta tą dziecinną igraszką, obeszła już była cały pagórek, gdy wtém jakiś niezwyuczajny szelest dał się jej słyszeć. Piękna margrabianka obejrzała się poza siebie, i z niewymownym przestraczem ujrzała tuż za sobą łeb ogromnego wołu, który groźnie w nią się wpatrzył. Stanęła na pół zmartwiała, kolana się jej zachwiały, chciała wskrzyknąć, lecz głos zamarł na ustach. Tak stała niema, nieruchoma, lekając się krokiem postąpić, aby wołu ku sobie nie zwrócić. Nareszcie, nie widząc innego sposobu ocalenia, jak tylko w ucieczce, skacze w bok, i bieży szybkim pędem przez łąkę, co woł widząc, ryknął straszliwie—Ludwika odpowiedziała krzykiem przerażenia, i padła bez duszy na ziemię.

Już woł był przypadł do niej, już ją iskrzącymi przeszywał oczyma, i parskając nozdrzami, miał ją na śmierć już strącać; aż oto nagle zjawia się jakiś nieznajomy młodzieniec i staje między nią a rozjuszonym potworem. Przywiedziony do ostateczności, uderza zapaśniętą na wołu, i rozpoczyna się okropna walka; lecz bohaterски obrońca wychodzi z niej zwycięzko, i odpędziwszy nieprzyjaciela, podnosi silnym ramieniem omdlałą dziewczynę z ziemi; niesie ją do pobliskiego strumienia, zwilża kilka kropkami wody jej twarz i czoło, i pyta uprzejmym głosem, czy nie jest skaleczoną?

»Nie, mój panie,« — odpowiada nieśmiało dziewczica — »lecz nagła trwoga sprawiła tak silne na mnie wrażenie, iż nie czuję się w stanie krokiem z miejsca postąpić.«

»Ale jakżeś pani mogła odważyć się wyjść sama w tę okolicę, której, jak się zdaje, nie znasz wcale?« ozwał się głosem tkliwego zarzutu tajemniczy wybawca margrabianki, usiadając przy niej na mu-

rawie. »W twoim wieku, pani, jestto prawie nierozwagą.«

»Ranek był tak przyjemny, a widok tych łąk tak piękny!«

»Niekiedy może on się stać bardzo niebezpiecznym.«

»Nie zapomnę tego, póki życia mego!« rzekła Ludwika, przyjmując wstydliwie podane sobie ramię młodzieńca, który miał sobie za powinność, odprowadzić ją do zamku. Lecz podwójne wzruszenie odjęło Ludwice wszelkie siły, i nadaremnie przymuszała się do chodu.

Widząc nieznajomy, którego Jérzym nazwiał, że jego towarzyszka powtórnie osłabła i mocno pobladła; wziął ją znowuż na ręce, i zaniósł powoli do zamku, gdzie ją złożył u bramy, a sam oparł się o przymurze, gdyż czuł się także wysiłonym.

»Och, mój panie,« — zawołała Ludwika, postrzegłszy jego omdlenie — »pan jesteś ranionym, ranionym w mojej obronie!«

»Nicto, pani;« — odpowiedział Jérzy z drzeniem — »jesteś już w bezpieczeństwie, więc pozwól, abym....«

»Jakto, chcesz pan już odejść?« zapytała zcicha Ludwika.

»Już nie daleko południe, a czekają na mnie!«

»Któż? Może ojciec pański?«

»Nie, stara ciotka, u której feryje spędzam.«

Po tych słowach chciał Jérzy oddalić się, lecz wtém nadszedł margrabia wraz z kilką służących. Ludwika opowiedziała, co się stało; ojciec zaniechał napomnieć ją za jej nieroztropność, aby tymczasem podziękował śmiałemu jej obrońcy, i ofiarując mu wywczas chwilowy, jakiego widoczny jego stan cierpiący nieodzownie wymagał. Jérzy wzbraniał się z początku przyjąć ofiarę margrabiego, lecz na szczerę jego naleganie, zezwolił nakoniec, i wsparty na ramieniu dwóch służących, udał się do jednego z zamkowych pokoi, ku wielkiej niechęci Piotra Leroux, który natychmiast zawziętą nienawiść ku młodzieńcowi powziął.

Jérzy, syn zamożnego kupca w Angers, był hojnie wszelkiemi darami natury wy-

posażony, i uchodził słusznie za chlubę swojej rodziny. Od niejakiego czasu został on w grono adwokatów swego rodzinnego miasta przyjęty, i rozpoczął świetnie swój zawód, gdy właśnie przypadek, czyli raczej zrządzenie losu, z Ludwiką go zapoznało.

Mając w walce z bykiem jedno zio bro złomane, musiał przez dłuższy czas w gościnnym domu margrabiego pozostać, a każdego poranku przychodziła Ludwika w towarzystwie wychowawczyni do pokoju Jérzego, aby się tam o jego zdrowiu dowiedzieć, i przez kilka godzin w jego obecności zwykłą robotą ręczną się trudnić. Byłato delikatna grzeczność, którą Jérzy o tyle codziennie czuł się szczęśliwszym, o ile ona Piotra Leroux codziennie bardziej złościła.

Lecz Ludwika miała lat 16. — Szczęśliwyto wiek, w którym serce przemawiać zaczyna, wiek uroku, w którym życie swoje uludzenia barwnym pozorem różanej kryje przyszłości; wiek, w którym wszystkiemu wierzymy, ponieważ nie mieliśmy jeszcze sposobności w cokolwiek zwątpić. Ludwika postrzegła wkrótce, iż Jérzy był światłym, przyjemnym, a osobliwie — jak ona to nazywała — grzecznym i względnym dla niej; gdyż odzywał się do niej często w tak miłe słowa, iż one jakis luby, nieznany dotąd niepokój w sercu jej obudzały... Ludwika, nie wiedząc o tém, kochała swego wybawcę.

Jérzy, któremu uczucia serca ludzkiego mniej były tajne, odgadnął rychło miłość swojej lubiej przyjaciółki, i spoglądał z trwogą ku tej niedalekiej już chwili, kiedy zupełnie uzdrowiony, będzie musiał opuścić zamek, i wyrzec się nazawsze tak słodkiego towarzystwa. Gdyby polityczne wypadki owych czasów mniej były uwagę margrabiego zajmowały, byłby on wcześniej tajemnicę obojga młodych ludzi przeniknął; lecz byłyto zbyt uwagi godne czasy, a zbliżająca się rewolucya, nie dozwalała innych myśli i dostrzeżeń.

Pewnego poranku, gdy Ludwika jak zwykle wybawcę swojego odwiedzała, a nieodstępna jej towarzyszka przypadkiem na

chwile się oddaliła, korzystał Jérzy z tej pomyślniej okoliczności, i pewny przychylnych sobie uczuć margrabianki, wyznał jej swoją miłość, którą ona z naiwną radością po raz piérwszy kochającej dziewczyny przyjęła. Wszystko szło jaknajlepiej, gdy oto niecny Piotr Leroux, stosunek kochanków odkrył, margrabiemu oczy otworzył, i równie Jérzego jak i Ludwikę do rozpaczy przywiódł.

Margrabia de la Chausseraie, uniesiony gniewem przeciw młodemu adwokatowi, którego śmiałość zdawała mu się być obelgą, zabronił Ludwice widzieć się z Jérzym, a jemu samemu kazał natychmiast oznajmić, iż radby go wkrótce zupełnie zdrowym ujrział.

Jérzy pojał dobrze tych słów znaczenie, i z nadzieją nazawsze straconą, z rozdartém sercem, opuścił nazajutrz zamek margrabi, zostawiając tam ukochany przedmiot swych uczuć w równiej boleści i rozpaczy.

Wyszedłszy za bramę domu, w którym niedawno był tak szczęśliwym, uczuł Jérzy, iż go odwaga odstępuje, i usiadł sobie zgnęany przy drodze, płacząc jak dziecko po swoich zawiedzionych nadziejach. Miał on je za niepowrotnie stracone, gdyż nawet przyszłość, ta ostatnia ucieczka serc nieszczęśliwych, żadnych mu widoków, żadnej pociechy nie nastroczała.

Łzy przynoszą wprawdzie ulgę, lecz nie wstrzymują lotnego biegu czasu; uczynił też samę uwagę Jérzy, widząc, iż się już zmiérzchać zaczęło. Wstał więc coby prędzej, spojrział jeszcze raz na dumny zamek senijoralny, i puścił się zwolna w drogę ku domowi swój ciotki.

Dóm pani Simon, leżący w pobliżu miasta Scgré, był jednym z najpiękniejszych w okolicy. Właścicielka jego owdowiała jeszcze w tych latach, kiedy kobiety nie tracą ani ochoty ani odwagi podobania się światu; lecz chcąc swemu ukochanemu siostrzeńcowi Jérzemu cały majątek nienaruszony zostawić, zrzekła się dobrowolnie powtórnych ślubów. Podobne postanowienie, zwłaszcza ze strony takiej jak pani Simon kobiety, mogło się sprawnie nazwać szlachetném, gdyż była

nie starą, majątną, i miała wielu wielbi-
cieli, między którymi niejaki Polikarp
Gervais się odznaczał.

Pani Simon odwiedzała Jérzego często
w jego słabości, i kilkokrotnie Ludwikę
u jego łoża zastała. Ztąd domyśliła się
wkrótce, iż zapewne ściślejszy od samej
wdzięczności węzeł margrabiankę tak czę-
sto tam sprowadza. W innych okoliczno-
ściach byłaby poczciwa ciotka cieszyła się
tém odkryciem, lecz w obecnym razie
rozważyła natychmiast, jako doświadczona
kobiéta, wszelkie przeszkody, na które
szczęście jój siostrzeńca niechybnie nara-
żone zostanie; a lękając się o jego przy-
szłość, postanowiła zwalczać ile możności
tę beznadziejną miłość.

Lecz usiłowania pani Simon nie odnio-
sły zamierzonego skutku, i zaczęła już
powątpiewać, ażali od téj miłości, czyli,
jak ona ją nazywała, choroby, odwieść
go będzie w stanie. Tymczasem zaszło owo
nieszczęsne odkrycie, które zmusiło go do
opuszczenia zamku margrabiego w téj chwili,
kiedy on najmocniej przydłużenia swe-
go pobytu w nim zapragnął. Gdy tedy
poczciwa ciotka swego kuzyna ze łzami
w oczach i wyrazem boleści na twarzy, do
domu powracającego ujrzała, zdało jój się
z początku, iż mu jakieś nowe nieszczę-
ście się wydarzyło, lecz uspokoiwszy się
w téj mierze, odgadła przyczynę jego ża-
łu, i szanowała milczeniem boleść, którą
tylko czas mógł uleczyć.

W ciągu całego wieczora był Jérzy po-
sępny i milczący; a gdy wreszcie godzina
spoczynku nadeszła, powiedziawszy w roz-
targnieniu kilku zgromadzonym w sali
znajomym »dobra noc«, udał się do swe-
go pokoju, aby tam smutkowi oddał
się dowoli tak długo, aż póki dobro-
czynny sen go nie zmorzy, a gorzkie roz-
pamiętywanie zdarzeń rzeczywistości, cza-
rowniej ułudzie nocnych widzeń nie ustąpi.

Dawne przysłowie mówi: »Dobra rada
nazajutrz.« I nasz młody adwokat doznał
zapewne skutku tego dostrzeżenia, gdyż
ledwie nazajutrz dzień zaświtał, zbiegł
szybko po schodach i pospieszył ku mie-
szkaniu Ludwiki.

Obaczywszy zdaleka stary feudalny za-

mek, wznoszący się dumnie i majestaty-
cznie na oświeconej ranném słońcem pła-
szczyźnie, uczuł, iż gwałtowne wzburze-
nie umysłu, które przed chwilą jakimś
gorączkowym przejmowało go zapalem,
teraz na widok jawy uciszało się, stygło,
i chciał już nazad wrócić; gdy oto jeden
ze znajomych mu sług dworskich u bra-
my zamkowej się pokazał.

»Hej, Walenty!« zawołał żywo nań Jérzy.

»Co pan rozkaże?« zapytał służący z u-
szanowaniem.

»Panna Ludwika....«

»Spi jeszcze, jak spią aniołowie w raju.«

»Słuchaj, czy chcesz wyświadczyć jój
usługę?«

»Natychmiast, jaką mi pan tylko wska-
żesz.«

»Oddaj ten list pannie Ludwice, lecz
tak, ażeby nikt nie widział.«

»To bardzo trudno! Jest tyle ludzi
w zamku; nie mówiąc nawet o Piotrze
Leroux, który wszystko widzi i słyszy,
choć nikt zgadnąć nie może, jak on
się do tego bierze.«

»A zatem nie chcesz swojej młodej pa-
ni przysługi zrobić?«

»Ach, nie, tego ja wcale nie mówię;
a za dowód niech panu to posłuży, że,
jeżeli mi pan swój list chcesz powierzyć,
tedy na św. Walentego, mojego patrona,
przysięgam, iż go za kwadrans pannie
Ludwice skrycie oddam.«

»I dotrzymaszże słowa?«

»Jak mi Bóg miły.«

»Dobrze!« rzekł Jérzy, wsuwając mu
do rąk dwie złotówki. »Masz to; a bądź
dziś w wieczór u mojej ciotki.«

»Niezawodnie.«

»Jeżeli pomyślną odpowiedź przyniesiesz,
dam ci dwa razy tyle.«

Walenty pospieszył do zamku, podczas
gdy Jérzy szczęśliwy i wesół wrócił do
domu, gdzie nikt nieobecności jego nie
postrzegł.

Nad spodziew pani Simon, był jój sio-
strzeniec przy śniadaniu w nadzwyczaj-
nie dobrym humorze, co poczciwą cio-
tunię niewymownie zdziwiło, gdyż nie
mogła sobie wytłumaczyć tak nagłej zmia-
ny, i czyniła tysiączne domniemywania.

Wkońcu, gdy ta tajemnica zanadto trudną do zapiesienia się stała, a zacna panj Simon koniecznie anioła tego, który jej siostrzeńcowi spokój duszy przywrócić, poznać zapragnęła, tedy rzekła ona z pozorną obojętnością do niego:

»Widzę, mój kochany, iż jesteś bardzo wesół; zapewne otrzymałeś pomyślną z kądęs wiadomość?»

»Nie, kochana ciotuniu, cieszę się tak mocno, że cię znowu widzę; wierzaj mi.»

»Doprawdy?»

»Czyż o tém wątpisz?»

»Broń Boże, mam ja zbyt dobre wyobrażenie o twojem sercu; lecz przyznaję ci się, że mię to zapewnienie twoje nie zupełnie uspokoiło.»

»Dlaczegoż to, moja ciociu?»

»Ponieważ w twoich latach towarzystwo podeszłej kobiety nie ma zbyt wiele powabów, zwłaszcza przy moim jednostajnym sposobie życia, rozrywającym jedynie odwiedzinami pana Gervais, który ma się za najprzyjemniejszego w całej okolicy człowieka, będąc właściwie tylko najniezwyklejszym gadułą.»

»Lubi on w istocie zbyt wiele gadać, lecz przy tém wszystkiem jestto bardzo szacowny człowiek, gotowy do wszelkiej posługi, niezrównany mistrz w wiście, wesoły spółbiesiadnik, a tak zagorzały myśliwy, iż widziałem, jak dnia pewnego trzydzięści dwa razy do jakiegoś biédnego wróbla strzelał, a potem tak nradowany do domu wracał, jakgdyby niedźwiedzia ubił.»

»Zaco też tak niemiłosiernie z niego drwiłeś.»

»A on to znosił z tak heroiczną cierpliwością, iż w samęj rzeczy żal mi się zrobiło, żem twemu najwierniejszemu wielbicielowi, do tego stopnia dokuczył.»

»Jérzy...»

»No, powiedzże mi kochana ciociu; kiedyż będzie wesele?»

»Czy znowu...»

»Będę ci za drużbę służył; przyrzekłaś mi to.»

»Jeżeli ty sam wprzódę się nie ożenisz!» przejęła ciocia żywo, rada, że może sprowadzić rozmowę znowuż do jej właściwego celu.

»Ożenić się? Nie!» rzekł Jérzy, kładąc rękę na serce, aby gwałtowne jego bicie uciszyć.

»W twoim wieku i ja też tak mówiłam, a przecież za pół roku byłam już panią Simon. Spodziewam się, że i ty podobnie uczynisz.»

»Przenigdy!» odpowiedział Jérzy, i chciał już powstać, gdy oznajmiono jakiegoś człowieka, który pragnął z nim mówić.

»To Walenty!» pomyślał sobie, i pospieszył naprzeciw niemu.

Lecz zamiast Walentego ujrzał Piotra Leroux.

»Pan tutaj?» zawołał młody adwokat z niemiłym zadziwieniem.

»Tak jest, ja sam, panie Jérzy. Zapewne pana

to dziwi; mogę sobie wystawić, bo nie mnieta spodziewałeś się ujrzyć; ale prócz mnie, nikt tu nie przyjdzie, bądź pan pewnym.»

»Doprawdy?» ozwał się Jérzy zmieszany. »Nie rozumiem, co pan chcesz przez to powiedzieć.»

»Czy tak?» odrzekł Piotr Leroux, uśmiechając się z szatańską złośliwością. »Muszę więc jaśniej się wytłumaczyć; lecz nie bierz mi pan za złe, jeżeli które słówko niemile pana dotknie, i wysłuchaj mię spokojnie do końca. Pan kochasz pannę de Chausseraie...»

»Nie zapieraj się pan, wiem ja to dobrze. Równie jak i to wiem, że ta miłość do niczego pana nie doprowadzi.»

Przy tych nieskromnych słowach zaczerwienił się Jérzy gniewem. Piotr Leroux postrzegł to, lecz nie okazując tego po sobie, mówił dalej:

»Przychodzę tedy, prosić pana w jego własnym interesie, abys zaniechał tej miłości.»

»Bezczelny!»

»Czyż wolisz pan, abym go zmusił do tego? Mam tu wszystko, co potrzeba, aby pana siłą od jego namiętności odwieść. Osądź pan sam;» dodał, dobywając z kieszeni jakieś zapieczętowane pismo, które Jérzemu do obejrzenia nadstawił.

»Mój list!» szepnął Jerzy z stłumionym gniewem.

»Tak jest, list pański, który przejąłem, a który, gdybym go panu margrabiemu pokazał, mógłby pana do Bastyli wtrącić. Lecz nie pragnę ja zguby grzesznika, byleś mi pan przysiągł zapomnieć o panie de Chausseraie.»

»Oddaj mi pan list ten natychmiast!» zawołał Jérzy porywczo.

»Nie oddam; takie dokumenta powinny się starannie przechowywać, i jestto moją zasadą, iż rywal nigdy z rąk tego wypuszczać nie powinien, co mu przewagę nad przeciwnikiem dać może.»

»Rywal? Ty rywalem?»

»Tak jest, masz pan wiedzieć, ja sam pańskim rywalem!»

»Ha, nędzny! To za wiele!» krzyknął młody adwokat, któremu myśl o tój obrazie Ludwiki całą godność i odwagę wróciła. »Sługa ojca, śmie podnosić wzrok ku jego córce!»

»I czemuż nie? Czyżto sługa a adwokat są tak różne stworzenia; alboż myślisz pan, iż pod suknią służki, serce mniej żywo bije?»

»Ależ jesteś niczém, jesteś mniej jeszcze niż niczém.»

»Gdybym nie był niczém, nie starałbym się tak usilnie, zostać czémsiś.»

»Obaczmy!» krzyknął młody adwokat. »Przysięgam, że nie bédziesz miał czasu do tego! Oddaj mi list mój! Oddaj go!»

»Nie tak prędko;» — odpowiedział Piotr z urąganiem — »chyba że mi dasz słowo...»

„List mój!” powtórzył Jęrzy wściekle, i rzucił się na Piotra, chwytając go za gardło. „Wróć mi list, lub nie wyjdiesz zład żywy!”

„Oto masz go pan, masz, a puść mię!”

„Ha, przecież!” zawołał Jęrzy, i wytracił swe-go przeciwnika za drzwi, a temuż nic innego nie pozostało, jak wrócić spokojnie do domu.

(Dokończenie nastąpi.)

J. J. Rousseau swatem.

Jan Jakób, bawiąc w swoim rodzinném mieście Genewie, wyszedł był jednego razu na przechadzkę. Zatopiony w marzeniach, kroczył żwawo naprzód, aż wreszcie głód i pragnienie ocknęły go w rzeczywistość. Ujrzał się w pobliżu jakiegoś sioła, którego wcale nie znał. Zarazem obaczył młodą, ładną dziewczynę, która o kilkanaście kroków przy drodze nad rowem siedząc, rzewnemi zalewała się łzami.

Rousseau przystąpił do płaczącej, aby ją o nazwę sioła zapytać, lecz postrzegłszy jej żałość, zapomniał o tém, co go do niej przywiodło, i rzekł:

„Czegoż to płaczesz, moja kochana?”

Młoda wieśniaczka podniosła głowę w górę, otarła sobie łzy z rumianego lica, a pozostały mimo to wyraz smuku na twarzy, dodawał ładnej, szesnastoletniej dziewczynie, niewymownego wdzięku. Było to prawdziwy obraz szczerości, krasy i niewinności.

Tak niespodzianie zagadniona, otworzyła oczy, lecz spuściła je znowu szybko w dół, widząc, iż ją Rousseau przenikliwém badał spojrzeniem. Poczem, zamiast odpowiedzi, zasłoniła sobie oczy ręką, jak-gdyby się wstydziła, że ją ktoś w tak smutnym znienacka zeszedł stanie, a jej usta przeciągnęły się do nieco wymuszonego uśmiechu. Rousseau nie ponowił prawdziwie pytania, lecz wymowne spojrzenia, które ciągle jeszcze w dziewczynę wlepił, dały jej poznać, iż ją z równą zawsze uważał ciekawością.

Nareszcie dziewczyna wstała, poprawiła sobie sukienkę, i bez dalszych okoliczności, jak swobodne dziecko natury, wzięła nieznajomego pod ramię i rzekła:

„Powiem wam szczerze, mój kochany panie, czemu płakałam. Mając czyste sumienie, można otwarcie mówić. Ale trudno lada komu powierzać, co sercu gniecie, nie prawdaż? Wszakże miłość nie grzechem? To mi zapewne sami przyznacie. Wtém tylko sęk wielki, iż wprzódy ojca i matkę o pozwolenie prosić trzeba. Nie wiem jak sobie w tém poradzić. A przecież jestto rzeczą konieczną, o której się niestety dopiero wtedy myśleć zaczyna, gdy już niepodobna pozbyć się miłości.”

Słowa te wymówiła piękna wieśniaczka tak szczerze i niewinnie, iż Rousseau przerwać jej nie śmiał,

lecz owszem z dobrodusznym uśmiechem i współuczuciem słuchał. To zaś, iż biedną dziewczyna kogoś znalazła, komu zale serca swego wynurzyć mogła, było już połową upragnionej pociechy dla niej.

Po jej zamilknięciu nastąpiła krótka przerwa w rozmowie. Po chwili zapytał ją Rousseau, czy daleko zład mieszka, i czyby go nie zaprowadziła do chaty swoich rodziców, aby tam trochę odpoczął.

„Z całego serca!” odpowiedziała dziewczyna, i tak szli oboje naprzód, ona wciąż szczebiocąc i żartując, on małomówny i w myślach zagłębiany. W ciągu drogi opowiedziała dziewczyna swemu towarzyszowi, iż zowie się Georginą, i kocha pewnego chłopca we wsi, imieniem Piotr, młodzieńca najlepszego serca, któremu bezpiecznie zaufać można. Starał on się już u ojca o jej rękę. Tomasz, jej ojciec, nielitościwy skąpiec, nie da sobie ani wspomnieć o tém małżeństwie, ponieważ Piotr jest ubogim, i nie ma nic prócz dobrej chęci zapracowania sobie na uczciwy kawałek chleba, a na to nikt teraz w świecie nie zważa.

„Wszelako,” — zakończyła dziewczyna opowiadanie — „mogłoby się to wszystko jeszcze pomyślnie skończyć, gdyby się taki człowiek za nami u ojca wstawił, coto mnóstwo pięknych książek napisał, które mój ojciec bardzo rad czyta. Bo mój ojciec, nie jestto prosty człowiek; uczył się w szkołach i ma różne wiadomości. Najbardziej zaś rozmiłował się w jednym panu, co książki pisze, chociaż osobiście go nie zna. I nie sto razy słyszałam od niego, a nawet dziś tożsamo mi powtarzał, że gdyby ten człowiek cobądź od niego zażądał, nawet mnie samę, odmówić mu nie byłby w stanie. Lecz jakże nam do tego pana się depytać! A do naszej wsi pan Jan Jakób Rousseau zapewne nigdy nie przyjdzie!”

Te ostatnie słowa wymówiła dziewczyna powolniej i nieco płaczkliwym głosem.

Jan Jakób Rousseau, usłyszawszy nazwisko swoje, spuścił głowę ku ziemi i rzekł zcicha: „Czy tak?” — a był w duszy równie uradowanym, jak biedna jego towarzyszką stroskaną.

„Może znacie tego pana?” ozwie się dalej Georgina, patrząc filozofowi bystro w oczy. „Ach, jakby to dobrze było! Przyprowadzilibyście go pewnie do nas, nie prawdaż? Tożbyto dopiero była uciecha dla mego ojca, ba co mówię, dla wsi całej. Wszyscy u nas słyszeli od mego ojca tak wiele o tym mądrym człowieku, iżby Bóg wie co dali, gdyby go ujrzeć mogli.”

Rousseau posunął ręką po czole, i przerywając mowę dziewczynie, zapytał, czy dostanie u nich mleka i chleba?

„Ach, ile chcecie!”

„A predkoż staniemy we wsi?”

„Oto już ją macie przed sobą; ledwie jeszcze 50 kroków do niej.”

Wkrótce przysli oboje do małej chatki wiejskiej. Dziewczyna otworzyła drzwi i wprowadziła swego gościa.

Ojciec Tomasz siedział sam jeden w izbie. Był to człowiek słusznego wzrostu i poważnej postawy, lecz miał w sobie coś chytrego i obtudnego. Podczas gdy Georgina po chleb i mleko poszła; stary wieśniak zbliżył się do filozofa, chcąc mu zadać owe zwykłe pytania, jakie w obec nieznanego gościa się czynią. Rousseau nie dał mu wszcząć rozmowy, lecz sam się najprzód ozwał:

»To wasza córka, prawda?»

»Jużci że moja.«

»Ładna i przyjemna dziewczyna.«

»Cóż wam do tego?»

»Nic zapewne; tylko sądzę, że ojciec taklém dzieckiem pyszczyć się może.«

»Pycha prowadzi zawsze do zguby.«

»Kocha ją pewien młody, nczciwy człowiek, który mógłby ją uszczęśliwić, gdyby się z nią ożenił.«

»Oho; wiem już do czego to zmierza. Lecz dajmy pokój temu. Pewnie to Georgina sama o tém wam napłotła. O, z tego nic nie będzie.«

Rousseau nie dał się tą lakoniczną i szorstką odpowiedzią odstraszyć, ale zapytał starca dalej:

»A cóżbyście powiedzieli, gdyby się Jan Jakób Rousseau za kochankiem waszej córki wstawił? Czyżbyście i jemu tak krótką i wężłowatą odprawę dali?»

Nato stary Tomasz jął z uniesieniem wychwalać nieśmiertelnego twórcę »Emilisa« i oświadczył się być tak wielką czciją dlań przejętym, iż spełniłby z rozkoszą wszelkie jego życzenia.

»Dobrze! zawołał przyjaciel Georginy. »Dopiątem więc, czego pragnę; gdyż jato jestem Jan Jakób Rousseau, i biorę was za słowo.«

W tój chwili wróciła Georgina i przyniosła filozofowi chleba i mleka na śniadanie. Podczas gdy on do jedzenia się zabrał, dziewczyna wyszła niepostrzeżenie za drzwi. Tymczasem gospodarz domu przypatrywał się chciwie swemu gościowi. Spojrzenia jego wyrażały zdziwienie i dumę, i ledwie filozofa nie pochłonęły. Nagle uderzył się stary w czoło, i rzekłszy: »Przepraszam, że was na chwilę opuszczam, zaraz wrócę!« — wybiegł cémprędzej z chaty.

Nie wrócił on aż po kwadransie, przylatując zadyuszany, prawie bez tchu, lecz jaśniejący radością. Rousseau siedział zamysłony na stołku, nie zważając, co się wokoło niego dzieje. Stary Tomasz stanął we drzwiach, i wpuścił jakiegoś barczystego parobka do izby. Ten przypatrzwszy się dokładnie filozofowi, wyszedł. Po nim wszedł drugi, obejrzał Jana Jakóba, i oddał się także. Wreszcie wszedł trzeci i czwarto, zachowując ten sam sposób znalezienia się. Trwało to dość długo, gdyż filozof genewski zanurzony był w głębokim dumaniu, a że owó wchodzenie i wychodzenie ciekawych, ukradkiem się odbywało, tedy panowała przy tém zupełna cisza.

Nakoniec jednak ocknął się wielki marzyciel, i ujrzał, jak każdy z wchodzących wieśniaków po srebrnym pieniążku do małej blaszanej wrzuciał puszkę, która u drzwi na prostym dębowym stole stała. Z początku nie wiedział co to ma znaczyć, wszakże wkrótce wyświeciła mu się cała zagadka, i pojął, do jakiej roli go tu użyto. Wstał więc cożywo, kazał natychmiast drzwi zamknąć, i ozwał się surowo do ojca Georginy, który zdjęty trwogą i wstydem, stał jak słup, niemy:

»Dziękuję wam wielce za wasze uwielbienie dla Jana Jakóba Rousseau. Dziękuję wam, żeście podjęli

się obowiązk, pokazywać mi ludziom za pieniądze, jak słońca, gadzinę Boa, małpę, dziecko o dwóch głowach, lub inny podobny potwór. Gdy wyjdę z domu waszego, mogli oni mię byli widzieć bezpłatnie. Ale ponieważ nie miałście przecież zamiaru zatrzymania mię tu na siłę, i zamknięcia mię do żelaznej kratki, lub w stój ze spirytusem, i nie chcieliście mię wozić ode was do wasi; tedy mniejsza o to. Lecz zarobione tak pieniądze mnie się przynależą. Zasłużyłem je, i sobie je też biorę.«

Georgina nie dowiedziała się nic o tym wypadku. Rousseau był zanadto delikatnym aby jej o tém nadmienić. Odebrana zaś Tomaszowi sumkę, darował infodemu kochankowi Georginy na rozpoczęcie gospodarstwa. Jakoż pohlali oni się wkrótce, i zawsze za Jana Jakóba, jako za twórcę swego szczęścia, do nieba się modlili. Lecz stary skąpiec milczał otdąd zawsze ze wstydu, ile razy o filozofie wspomniano.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 34ty i zawiera: 1) Skrócenie w krótkości historii i teoryi żywienia się roślin. 2) O dzierzawach angielskich i sposobie ich prowadzenia. (Ciąg dalszy.) 3) O wyrozumowanym chowie bydła rogatego. 4) Kit do spajania porcelany i szkła. 5) Sposób robienia octu na kuchnię. 6) Praktyczna rada z powodu choroby ziemniaków. 7) Wiadomości handlowe.

Dziennika mód paryżskich pod redakcją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 18ty i zawiera, prócz mód, następujące artykuły: 1) Skryte drzewiczki. (Dokończenie.) 2) Wspomnienie posmiertne, przez A. J. 3) Nie śpiewać, wiersz przez Karola Boczkowskiego. 4) Nowości literackie.

Słońce centralne. Astronom Mädler w Dorpacie, porównując położenie gwiazd, oznaczone dawniej, z tegoczesnemi, doszedł, że nie tylko słońce nasze, ale i wszystkie gwiazdy widzialne krążą w przestrzeni około jednego stałego punktu, nazwanego słońcem środkowem. Punkt ten, będący środkiem całego świata widzialnego, przypada w okolicy nieba najobfitszej w gwiazdy, to jest w Plejadach. Jedna z gwiazd tój gromadki, zwana Alcyone, ma być owem słońcem środkowem wszystkich gwiazd innych. Słońce nasze, będące najbliższą nas gwiazdą, położone jest względem słońca środkowego 34 miliony razy dalej niż od ziemi, to jest 21 milionów mil geograficznych, pomnożone przez 34 miliony. Światło, przebiegające jak wiadomo 42.000 mil jeograf. na sekundę, potrzebuje 537 lat, ażeby od słońca środkowego do nas doszło. Perjod obiegu naszego słońca około środkowego wynosi 18 milionów lat. Prędkość biegu postępowego naszego słońca po jego ogromnej drodze jest 8 mil jeograf. na sekundę. Pomimo tak wielkiej prędkości, z jaką cały układ słoneczny w przestrzeni porusza się, oddalenie słońca środkowego od nas jest tak wielkie, iż zmiany roczne w położeniu gwiazd są uadzwyczaj małe, i kilka wieków potrzeba, aby je dostrzedz.

Termometrograf wieżowy. Na wystawie sztuk i przemysłowości w Dreźnie znajduje się termometrograf metalowy, sporządzony przez mechanika Hohn, i mogący być na wieży jak zegar umieszczonym, aby tam wielkiemi skazówkami w każdej chwili stopień temperatury okazawał. Główną rzeczą w tój machi-

nie jest pręt metalowy z cynku i stali, a cała machina jest tak kłiwła w wszelki wpływ powietrza jak najlepszy termometer o żywym srebrze.

Podnoszenie się powierzchni ziemi. Dzienniki amerykańskie donoszą: Cały ład wokoło zatoki Conception, a prawdopodobnie i cała wyspa Newfoundland podnosi się z taką szybkością w górę, iż przypuścić można, że za lat kilka najlepsze porty nadbrzeżne nieużytecznymi się staną. W Port de Grave uczyniono dokładne postrzeżenia, dowodzące iż w istocie ziemia tamtych okolic niezaprzeczenie się podnosi. Kilka wielkich raf morskich, ponad które jeszcze przed 30tą laty dość znaczne statki z wszelką łatwością pływały, wystąpiły teraz tak dalece na powierzchnię, iż ledwie małe czółna pomiędzy nie przepłynąć mogą. W pobliżu zatoki Roberts, o ćwierć mili od wybrzeża, pokazała się teraz krzemienista płaszczyna, wysterczająca na kilka stóp z głębi morza, okryta wielkimi kłębami kamieniami, podobnie zupełnie do tych, jakie na terazniejszym wybrzeżu morskiem leżą.

Dalsze wiadomości o telegrafach podwodnych. Z nowych elektromagnetycznych doświadczeń, które niedawno w porcie Portsmouth przedsięwzięto, okazuje się, iż użyteczność nowowynalezionych telegrafów podwodnych bynajmniej wątpliwości nie podlega. Wspomniane tu doświadczenia odbyły się jak najpomysłniej; wydany po jednej stronie brzegu sygnał telegraficzny, powtórzył się w oka mgnieniu po drugiej stronie, a znaczna głęb morza jakoteż niemała odległość brzegów, nie wywarły żadnego wpływu na szybkość doniesienia. Jakoż można się było tego spodziewać, oile że podług praw elektryczności udzielania się płynu elektrycznego w wodzie trudnościom nie podpada; lecz najbardziej zadziwiło, że i nadzwyczajnie żywy ruch w porcie, gdzie tyle okrętów nieustannie przepływa i odpływa, najmniejszej przeszkody w korespondencji telegraficznej nie sprawił, co mianowicie zręcznemu ułożeniu drutów w głębi morza podziękować należy. Pomyślny skutek doświadczeń w Portsmouth każe się spodziewać, że podobna komunikacja między dwoma otwartego morza brzegami, gdzie takich jak w porcie przeszkód ciągłego ruchu nie masz, z równaż, lub jeszcze większą da się uskutecznić łatwością, a zatem i zamierzone podwodne połączenie Anglii z Francją, znaczne ku spełnieniu się przybliżyło.

Nowy system karny. Kapitan Macouachi, były zarządca osad złoczyńców na wyspie Norfolk, wniósł, aby karę więzienia odtąd nie podług pewnego przeciągu czasu, lecz podług ilości dokonanej w więzieniu pracy oznaczono, tak, iżby sam wieciez pilnością i dobrem sprawowaniem się mógł sobie czas swojej kary ukrócić.

Ludwik Bonaparte, były król Holenderski, który dotąd pod nazwiskiem hr. Saint-Len bawił w Litwornie, umarł tamże dnia 25go lipca r. b. deżywszy lat 68. Urodził on się w Ajaccio dnia 2go września 1778, wstąpił bardzo wcześnie w służbę wojskową, odbył kilka wypraw pod Napoleonem, i osiągnął stopień generała brygady. W r. 1802 poślubił on Hortenzję de Beauharnais, córkę cesarowej Jozefiny. Później został a kolei radcą stanu, generałem dywizji i w. konetabłem. W r. 1805 mianował go cesarz jenerałnym gubernatorem Piemontu; wszakże opuścił on wkrótce tę posadę, aby objąć dowództwo nad

armiją północną w Holandyi. W r. 1806 został Ludwik Bonaparte na króla Holenderskiego wyniesionym, i okazał się bardzo łagodnym i dobroliwym monarchą, lecz zaszcze między nim a cesarzem Napoleonem nieporozumienie, skłoniło go do zrzeczenia się rządów. Powrócił do życia prywatnego i zajmował się w samotności literaturą i umiejętnymi pracami. Jak wiadomo, pozostawił tylko jednego syna, księcia Ludwika, który po swojej ucieczce z twierdzy Hammsiał pozostać w Londynie, gdyż nie mógł od rządu toskańskiego otrzymać pozwolenia do widzenia się z ojcem. Ze wszystkich braci Napoleona żyje więc jeszcze tylko 62letni książę Montfort, były król westfalski.

W skutek upałów tegorocznych zaczęły nawet lodowce alpejskie tajać. Jakoż wszelki prawie lód na skalistym szczycie góry Montblanc już się rozpułnął, czego oddawna nie pomną. Z tegoż powodu wody Rodanu wezbrały i szeroko z brzegów wystąpiły.

W celu podźwignienia teatrów prowincjonalnych we Francyi, ma się zawiązać w Paryżu towarzystwo, które wszystkie teatry miast znacniejszych, jak up. Lugdunn, Bordeaux, Marsylii, chce wziąć w dzierżawę, i już milion franków na to zebrało. Zważywszy, iż z powodu konkurencji tylu różnych dyrekcji płaca aktorów tak dalece wygórowała, iż prawie żadna dyrekcja na prowincyi utrzymać się nie zdoła; zważywszy, iż w ten sposób znakomitsi artyści na kilku różnych teatrach grywać mogą, a wreszcie i znaczna część wystawy, jak np. kostiumy, partytury, głosy i role, dla wszystkich teatrów wspólną być może — trzeba uznać, że pod względem ekonomicznym, plan taki wiele korzyści obiecuje; zatoż pod względem artystycznym, możnaby mu wiele zarzutów uczynić.

Obrońca wojennej sławy krawców. Na jednym z ostatnich posiedzeń Izby reprezentantów w Waszyngtonie zaszła następująca komiczna scena. Była mowa o zwycięstwie generała Taylor (co znaczy krawiec) nad Meksykanami, a któryś z mówców wyraził się, iż kraj winien jest to zwycięztwo jedynie tej okoliczności, iż generał Taylor jest żołnierzem w całym znaczeniu tego słowa, nie zaś krawcem albo kowalem. Ta uwaga oburzyła w wysokim stopniu innego członka zgromadzenia, p. Johnson, reprezentanta z Tenesse, a krawca z rzemiosła. Powstał on i rzekł: »Kto stan rękodzielniczy zaczepia, ten ze mną ma do czynienia. Wyrzeczono, iż kowal albo krawiec nie mogliby byli odnieść zwycięstwa; jestto obraza, ubliżenie, którego wcale nie zniosę. Było wprawdzie niegdyś przysłówie, iż 9 krawców na 1 mężczyznę idzie, ja zaś twierdzę, iż teraz 9u mężczyzn potrzebna, aby 1 krawca z nich zrobić. Generał Taylor mógł być tak co do swego stanu jako i nawziska być krawcem; to nie wadziłoby mu było, zostać bohaterem. Już sam Adam był krawcem, gdyż, jak czytamy w piśmie św., zżywał liście figowe...« Mowca zapalał się coraz bardziej w obronie swego stanu, i wśród powszechnego śmiechu zgromadzenia, przytaczał mnóstwo wojowników, dyplomatów i siozofów starożytności, średniej i nowszej historyi, z których większa część pochodziła ze stanu krawieckiego. Łekano się aby nie przyszło do pojedynku między krawcem-deputowanym a jego przeciwnikiem, lecz później nie o tém więcej słychać nie było.